

# Florian Śmieja

---

## Fragmenty trudnej korespondencji : Zygmunt Ławrynowicz (1925-1987)

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 56, 351-357

---

2002/2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## FRAGMENTY TRUDNEJ KORESPONDENCJI

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ (1925–1987)

„Dlaczego dałeś mi miłość ojczystego języka a zabrałeś ojczyznę...” skarżył się w jednym ze swoich wierszy zmarły w Londynie poeta i tłumacz Zygmunt Ławrynowicz.

Urodzony w Poniewieżu na Litwie, tam spędził dzieciństwo i chodził do polskiego gimnazjum. Liceum natomiast, po przedostaniu się przez Jugosławię do Włoch do polskiego 2. Korpusu, zaczął na ziemi włoskiej a ukończył w Anglii. Studia ekonomiczne podjął na irlandzkim uniwersytecie w Dublinie a wróciwszy do Londynu w 1952 r. zaczął pracować jako urzędnik bankowy w City aż do wczesnej emerytury w 1985.

Jego żyłka literacka, w szczególności poetycka, zbliżyła go do grona młodych ludzi wydających w Londynie pismo „Życie Akademickie” pod egidą Zrzeszenia Studentów i Absolwentów. Swoją współpracę wnet uwięził objęciem redakcji miesięcznika w latach 1953–1954. Następnie współredagował miesięcznik „Merkuriusz Polski” w 1955, w który pismo się przeobraziło, a także należał przez pewien okres do zespołu kolejnego wcielenia pisma, „Kontynentów”. Współpracował z nimi do bodajże 1964 r. Obok wierszy i omówień książek znajdziemy na łamach tych pism jego żywe, z pasją pisane artykuły publicystyczne.

Październik 1956 umożliwił młodym emigracyjnym poetom zadziwienie pierwszych wędzów z kolegami po piórze w Polsce. Ławrynowicz na łamach katolickiego miesięcznika londyńskiego „Życie” ogłosił wtedy szereg napisanych przez siebie sylwetek młodych krajowych poetów. Zaczął też drukować swoje utwory w pismach w Polsce, głównie w miesięczniku „Więź”.

Jako poeta dał się poznać wydanym w Londynie w 1953 r. tomikiem *Epitafium jesieni* w serii debiutów oficyny Józefa Bujnowskiego tzw. Polskiego Towarzystwa Literackiego. Po tych wczesnych utworach utrzymanych w tonie, który już mu miał towarzyszyć w całej twórczości, utwory bardziej różnorodne i dojrzsze znajdziemy w tomie *Syn marnotrawny*, który wyszedł w 1968 r. w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie. Niesprzyjające warunki wydawnicze i pewna niezaradność i nieśmiałość spowodowały długą przerwę w jego publikacjach. Wydawnictwo Pojezierze w 1984 drukowało jego winiety liryczne pod tytułem „Błędne ogniki”. Następny tom już wydał sam autor pod firmą Kwiat Lotosu. Był to *Anglobabilon* w 1986 a po nim wyszły *Trujące jagody czyli Helga*, memento nieudanej próby związania się z kobietą.

Oprócz puścizny poetyckiej zostawił wiele przekładów z angielskiego, włoskiego i litewskiego. Są to przekłady nietuzinkowe.

Poeta Ławrynowicz pisał teksty smutne, pełne wyrzutów i żalu, wiersze bliskie rozpacz. Mimo, że żył w wielkim mieście, był pustelnikiem. Spośród wielu ludzi, którzy obok niego przechodzili, niewielu wybrał na przyjaciół i powierników. Miał naturę nietatwą, obcowanie z ludźmi przychodziło mu z trudnością, zbyt wysokie stawiał bliźnim wymagania. W rezultacie brakowało mu intymności ludzkiej, ciepła, koleżeńkości. Nigdy nie założył rodziny. Do końca samotnikował. Łaził po górach, włóczył się po lasach, nurkował w Morzu Śródziemnym.

Zmarł na serce w swoim kawalerskim pokoju tak cicho, że dopiero po kilku dniach domyślono się tego, co zaszło. Tak jak inni poeci emigracyjni, pozostanie w ojczyźnie-języku.

Zygmunta poznałem wnet po jego pojawieniu się w Londynie po ukończeniu studiów w Irlandii w 1951 r. Widywaliśmy się często więc korespondencja wywiązała się później dopiero, kiedy na skutek mojego ożenku i wyjazdów w teren, by uczyć w amerykańskich bazach lotniczych poza Londynem, spotykaliśmy się rzadziej, a wreszcie po przeprowadzeniu się do Nottingham a następnie po wyjeździe do Kanady, wiezią mogły już być tylko listy. W zachowanej korespondencji posiadam 23 listy i kartkę z lat 1955–1986. Z tych listów prywatnych ale i dotyczących kolektywnego przedsięwzięcia wydawania i redagowania pisma chciałbym udostępnić fragmenty, które mówią o sprawach ukazujących się wtedy w Londynie czasopism „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” oraz pokrewnych tematach. Przytoczę również wypowiedzi Zygmunta na temat samopoczucia

i pracy zawodowej, by rzucić trochę światła na enigmę jego przedwczesnej śmierci. W ten sposób chciałbym przyczynić się do zachowania od zapomnienia wyrazów troski Zygmunta o los i kształt pism młodych w powojennym Londynie, czego on sam już nie jest w stanie zrobić. Wydają mi się one ważne szczególnie dziś, kiedy jesteśmy świadkami ożywionego zainteresowania grupą poetów londyńskich i ich czasopismami. Wkład i opinie Zygmunta Ławrynowicza muszą być brane pod uwagę, jeśli nie ma ulec wypaczeniu obraz grupy, obecnie już dość swobodnie i ryczałtowo interpretowany przez badaczy zagadnienia.

Moja korespondencja z Zygmuntem nacechowana jest nierzadką w życiu mieszkanką wzlotów i upadków, stanów euforii i depresji, pochwał i rekriminacji, ba, pomówień. Mimo zaburzeń korespondencja trwała przez lat trzydzieści, choć jej rzadkość i przypadkowość świadczy o jej drugorzędności.

Pragnę się wstrzymać od komentarzy. Niechby teksty mówiły same za siebie. Sądzę, że jeżeli Ławrynowicz zżyma się w nich i pomstuje, wklą w zeznaniach i oskarża pochopnie, to nie czyni tego dla przekory, dla podreperowania swojego samopoczucia. Chcę wierzyć, że nurtuje go pasja naprawy sytuacji. Ludzi się na przykład, że łatwo było z „Kontynentów”, pisma toczonego się od numeru do numeru w jego opinii, zrobić świadomą swojego celu trybunę pielęgnowaną troskliwie przez ludzi z poświęceniem i jasną myślą przewodnią. Można więc rzec, że jest moralistą i kaznodzieją używającym ognia piekielnego za zasadniczy element swojej perory. Dlatego składać należy jego słowa na karb zdrowego, ale niekoniecznie racjonalnego instynktu, a nie zgorzknienia czy chęci wyżycia się, raczej impulsywnej akcji niż jakiegoś zadawnionemu kompleksowi. Różniłem się od niego tym, że uważałem, że najpierw trzeba było żyć a dopiero potem filozofować i doskonalić warsztat. Znając całokształt wysiłków wydawniczych lepiej i dłużej, doceniałem wagę ciągłości i ludzkiego zaufania. Nie wierzyłem natomiast w powodzenie fajerwerków i błyskotliwego słomianego ognia. W tym być może byłem podobny do zwolenników emigracyjnej literatury. Różniłem się pewną trzeźwością nie przeceniającą ani roli, ani wartości „Kontynentów”.

Pierwszy list naszej korespondencji pochodzi z 2 maja 1955. Zygmunt donosi w nim o swojej rezygnacji z redagowania „Merkurjusza Polskiego”, dopiero co powstałego. Skarży się też na brak współpracy z mojej strony w konsekwencji wydrukowania przez niego w ostatnim numerze „Życia Akademickiego” złośliwego listu Mieczysława Paszkiewicza pod moim adresem jako ripostę na mój list do redakcji. Donosił o swojej rezygnacji wobec dostrzeganej polityki „intrygi i obmowy” i przesuwania się wpływów w ręce działacza związkowego Ludwika Angerera. Zygmunt wyjaśnia, że nie chce dłużej firmować poczyniń, na które nie może wpłynąć dostatecznie. Dodaje ponadto:

Myślę, że jeżeli zależy Ci choć trochę na tym aby to pismo rozwinęło [się] w poważny miesięcznik literacki to powinieneś wejść do zespołu...

Dwa lata później, widocznie w odpowiedzi na moje z kolei zaproszenie do nowego zespołu redakcyjnego, w którym miałem być naczelnym, Zygmunt zapewniał, że ma do mnie zaufanie, ale nie ma go, czuje nawet pogardę do tych, którzy mi zaproponowali redakcję. Zauważyli oni — jego zdaniem — że pismo upada, że nikt nie chce współpracować, dlatego postanowili mnie zaprosić, bym wszystkie krnąbrne owieczki sprowadził z powrotem. Sam Angerer niby to rezygnuje z redaktorstwa, ale zostaje powiernikiem czyli utrzyma nadzór nad pismem. Ławrynowicz zgadza się, że pismo trzeba ratować, ba, trzeba ratować coś więcej: reputację młodej inteligencji polskiej za granicą. Obawia się jednak, że nie zdołam przeprowadzić własnych zamiarów, że pozwolą mi na podniesienie poziomu, na powiększenie liczby prenumeratorów a potem mi podziękują.

W piśmie, które dzisiaj by powstawało, trzeba by serc gorących, jasnych umysłów i odważnych wnikliwych oczu. Nie można nie zająć stanowiska wobec wydarzeń w Kraju, nie można zignorować polityki międzynarodowej. Trzeba by odważnie mówić gdzie się stoi i gdzie chce się iść. Tylko wtedy pismo mogłoby mieć sens. W piśmie, które będzie bezpłciowe, w piśmie, które będzie zlepkiem tego co różni ludzi, na różnych poziomach świadomości i talentu, łaskawie przysłał, w takim piśmie nie chciałbym współpracować nawet z Tobą, myślę bowiem, że byłoby to kompromitacją dla nas obu.

I Zygmunt współpracy odmówił. Nieco później jednak do zespołu dołączył.

Pod koniec roku przysłał list w którym informował o wzięciu redaktora naczelnego „Nowej Kultury”.

Podobno Woroszyński przyjechał (Proletariusze wszystkich krajów łączcie się) i był na przyjęciu u Bogdana [Czaykowskiego]. Nie wiem czy Bolek [Taborski] był, ale wątpię, bo ostatnio coś chodzi z nosem bardzo na kwintę. Ile razy go widzę, tyle razy uświadamiam sobie znaną zresztą prawdę, że bezkrytyczny entuzjazm w polityce kończy się rozczarowaniem, inaczej być nie może. Politykę układają umysły perfidne, przewrotne, cyniczne, tacy jak Bolek są dla nich okazją do hucznego śmiechu i zjadliwej drwiny. [...] Z Bogdanem jest inna sprawa. Ten myśli, że wszystkich przechytzy i oszwabi. W tej sytuacji do Polski na pewno nie pojedzie. [...] Myślę, że nie jest naszym zadaniem wspomaganie infiltracji komunistycznej na emigracji, wręcz odwrotnie. Trzeba ją zwalczać, albo przynajmniej uniemożliwiać pewne posunięcia. Dochodzę do wniosku, że jesteśmy w pewnym sensie po to, aby tegoż Merkuriusza bronić i rozwijać, bo czas pościna głowy niejednej redakcji emigracyjnej. [...] Myślę, że możemy z Merkuriusza zrobić fajne, interesujące ale także i ideowe pismo. Jeżeli my nie damy jakiegoś programu to w najlepszym wypadku ludzie się wynarodowią, w najgorszym — przyjmą program, który zniweczy ich patriotyzm i zabije duszę.

W kolejnym liście z 14.1.1958 r. Zygmunt strofuje mnie i wymyśla mi za nieskreślenie jego nazwiska ze stopki redakcyjnej, jak tego zażądał. Nie pamiętam dokładnie szczegółów sprawy i dlatego nagle postanowił nas opuścić. Nazwisko kazałem utrzymać, gdyż numer został przygotowany jeszcze za członkostwa Zygmunta.

W liście pisze

[...] mimo początkowego porozumienia co do sytuacji w Merkuriuszu oraz koniecznych kroków, jakie należałoby podjąć w celu uzdrowienia atmosfery, opuściłeś mnie bez uprzedzenia, przyjmując nagle stanowisko diametralnie przeciwnie.

Nie przebieając w słowach ani argumentach ciągnął dalej:

Zawsze uważałem Cię za człowieka uczciwego. Teraz widzę, że się pomyliłem. Zawiodłem się na Tobie jako na redaktorze, bo byłeś wiecznie bezradny i niezdecydowany, chwiejny, Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek usiłowałeś palić z fatalnym jak się okazuje dla pisma rezultatem.

Posunął się nawet do niegodnych go insynuacji:

Wnioskuje, że pismo jako takie nie angażowało Twoich sympatii. Traktowałeś je jako odskocznnię gdzie indziej, o czym w pewnym sensie świadczy Twój artykuł o „Życiu” w którym widzę zniekształconą *in minus* znaną bajkę o lisie i winogronach.

Pięć lat minęło od daty następnego listu. Na zaproszenie, by wziął udział w nagraniu dyskusji na temat podsunęty przez Miłosza, wyraża zgodę, ale żąda gruntownego przygotowania do dyskusji. Dalszy list Zygmunta mówi o tym samym i wobec braku rezultatów jego propozycji, zawiadamia że nie weźmie udziału życząc pozostałym powodzenia. W kolejnym liście wraca do tego samego tematu i wymawia się, że jego krytyka nie jest osobista ale merytoryczna. Dodaje:

To, że używam czasem dosadnych sformułowań jest wynikiem krewkiego temperamentu i nic na to nie poradzę, nie jestem dyplomatą. Przy tym sądzę, że na dalszą metę lepiej jest wyluszczyć sprawę *expressis verbis* bez niedomówień, niż okłamywać się wzajemnie dla uratowania pozorów. [...]

Nie ukrywam, że jestem krytycznie nastawiony do Kontynentów, nie z uwagi na redaktora, ale ze względu na zawartość pisma [...] głównie o brak konsekwentnej postawy wobec zjawiska świata literackiego.

I obiecuje napisać artykuł. List kończy:

Przeglądając niedawno Dyskusję o języku doszłem (*sic!*) do wniosku, że właściwie to jest temat, który trzeba by nagrać na nowo, bo poprzednie potraktowanie było zbyt sumaryczne i wykrętne.

W liście z 19.11.1963 po wysłaniu do mnie artykułu Zygmunt tłumaczył:

Chciałem wyjaśnić, że nie poddaję tam Twojej osoby zakamuflowanej napaści. Chyba zgodzisz się ze mną, że nie wszystko — oględnie mówiąc — co jest wynikiem naszej działalności w świecie zasługuje na stuprocentowy aplauz. Istnieją różnice zdań — myślę, że pismo istnieje także po to, aby te różnice zdań ujawnić. W innym razie szybko stoczymy się do rzędu jednej z wielu grasujących tutaj klik wzajemnej adoracji, a to by równało się śmierci intelektualnej. Im więcej odważnej kontrowersji tym lepiej, moim zdaniem. Z otwartego ścierania się poglądów może i powinien wyłonić się wspólny nam wszystkim obszar doświadczeń i przyszłej działalności, na którym to terenie zgoda nie tylko że nie przyniesie wstydu, ale stanie się początkiem nowego etapu twórczej, wartościowej pracy. Żeby uniknąć nieporozumień — zresztą już mówiłem o tym nieraz — jestem zwolennikiem dalszego wydawania pisma i dobrze się stało, że poprzednia załoga nie zdołała utopić tej tratwy. Z drugiej strony, nie cieszy mnie obecna forma Kontynentów. Ani objętościowo ani treściowo nie jest to miesięcznik którego istnieniem można by się chlubić. W obiecanych artykułach m.in. będę mówił o tych sprawach.

W liście z 27.1.1964 Zygmunt m.in. pyta:

Nie rozumiem na czym polega „niemożność” obrony moich zarzutów z 2-giej części artykułu. Chyba nie jesteś zobowiązany do obrony każdej opinii wygłaszanej na łamach pisma, bo to absurd. Na temat tego czym jest „rzeczywistość” a czym nie jest, ludzie spierają się od zarania dziejów — jak dotąd zgody nie osiągnięto.

List Zygmunta z 19.2.1964 donosi o przeprowadzeniu rozmów z osobami mogącymi ściśle współpracować z Kontynentami. Wynik był negatywny. „Z grubsza biorąc przychylna bierność”. Nie zabraknie „dosylaczy” różnych tekstów, motywowanych swoimi interesami.

Cale towarzystwo, pomimo zróżnicowań jakie napewno występują ma jedną cechę wspólną. Jest nią cyniczny stosunek do pisma, które widzą oni jako rodzaj teatrzyku. W teatrzyku tym redaktor ma spełniać rolę aktora, reżysera i scenografa, manipulatora od świateł, dekoracji i propagandy, kasjerem, woźnym i posługaczką w jednej osobie. Pismo, więc, teatrzyk do wynajęcia ma istnieć po to, aby oni od czasu do czasu wygodnie rozparci w łoży, mogli oglądać własne utwory na scenie i oklaskiwać Redaktora-Factotum, względnie wygwizdywać go za to, że pokazuje nie to, co oni mu podsunęli. Jeśli pismo będzie dobre, to ich zasługa, bo to oni piszą. Jeśli zle, to winien Redaktor, który jest niedolegą.

Z tonu listu wynika, że w moim piśmie zwróciłem się do Zygmunta z pytaniem, czy by sam nie miał ochoty objąć funkcję redaktora. Opowiedział, że takich ambicji nie hołubi, że tytuły i gry w redaktora go jedynie bawią.

Skoro nie można realizować celów wartościowych i potrzebnych a zajmowanie się głupstwami w naszym wieku zakrawa na błażeństwo, nie pozostaje mi nic innego jak zrezygnować z oferty objęcia redakcji. Redagowanie pisma w moim pojęciu, nie jest służbą społeczną ani obowiązkiem moralnym. Jest natomiast formą działalności, której wartość wyznaczają nie intencje, ale osiągnięcia, która w zależności od czasu, miejsca, sytuacji piszących może być celowa, względnie celową nie jest. Z rozważenia obecnej sytuacji i możliwości wynika, że nie byłoby celowe podejmowanie tej próby.

Dodaje, że poleca na to stanowisko Jerzego Niemojowskiego i że jest gotów poufnie o tym z nim porozmawiać.

W liście z 3.3.1964 Zygmunt to co nazwał uprzednio „cynicznym podejściem” i „przychylną biernością” uznał za wolną wolę.

Tobie, jako wolnemu człowiekowi, wolno założyć np. hodowlę orchidei, jeśli taka jest Twoja wola. Ale nierozsądnie byłoby wymagać, aby znajomi i przyjaciele przyszli Ci pomagać w tej robocie.

Dodał też:

Nie jesteśmy tacy starzy, żeby kurczowo trzymać się tej opuszczonej tratwy. Spróbujmy płynąć ufając własnym siłom. Niezależność duchowa, samowystarczalność jest

warunkiem bezwzględny powodzenia w pracy umysłowej. Gromadka rozbitków kuląca się wokół ogniska i szukająca pociechy w gromadnym ciepélku jest skazana na powolną zagładę. Wygrają ci, którzy oderwą się od tego „magnesu” i pojedą w głąb odkrywać ład nieznanym zamiast przez własny udział pomnażać wrzawę zdezorientowanych i przestraszonych, względnie pomagać w cynicznej eksploatacji tych stanów psychicznych.

Dnia 15.5.1964 Zygmunt informował o wybieraniu się na wakacje, o tym, że chodzą słuchy jakoby Czesław Bednarczyk miał objąć redakcję „Kontynentów”.

Myślę, że z zamykaniem pisma nie musisz się śpieszyć — to zawsze można zrobić o każdej porze. Zaczekaj. Niech pismo „zaśnie” na parę miesięcy i odpocznie. To mu wyjdzie na zdrowie...

Kiedy powrócił do Londynu, ja otrzymawszy pracę na jednym z uniwersytetów środkowej Anglii, przeniosłem się na wieś pod Nottingham. W liście z 20.9.1964 przekazanie pisma Zbigniewowi Grabowskiemu skomentował Zygmunt tak:

Nie mam ochoty wracać do sprawy Kontynentów. Powiedzieć jednak muszę, że uważam „załatwienie” sprawy za wybitnie niefortunne. Pismo dostało się w ręce ludzi, z którymi nic mnie nie łączy i z którymi współpracować nie zamierzam.

Przypomina też, że w poprzednim liście prosił mnie o

niepodejmowanie drastycznych kroków w pośpiechu. Miałem zamiar skontaktować się z Tobą po powrocie z wakacji, aby ostatecznie sprawę obgadać. Tymczasem po powrocie od postronnych osób dowiedziałem się o losach Kontynentów [...] z dwójga złego wolałbym się zjawić na stypę niż na *marriage*, który pachnie stręczycielstwem...

Kilka lat później po powrocie z wizyty w naszym domu w Ruddington pod Nottingham, Zygmunt w liście z 7.4.1968 wyznał:

Nie mieliśmy co prawda zbyt wiele czasu, żeby przedyskutować Wielkie Sprawy, ale zanurzenie się w codzienność życia rodzinnego dla takiego samotnika jak ja jest zjawiskiem cennym i pożytecznym. Na parę dni przynajmniej zapomniałem o własnych problemach i kłopotach, co stwierdziłem z ulgą wielką, jako że obsesja własnego „ja” dla faceta żyjącego w czterech ścianach własnego pokoju staje się *a la longue* zjawiskiem nie do zniesienia. Nieraz mam ochotę wydostać się z własnej skóry i pomaszerować w siną dal nie oglądając się za siebie. Myślę, że w życiu każdego z nas zdarzają się takie okresy [...] Praca biurowa bardziej niż kiedykolwiek daje mi się we znaki...

Tuż przed moim wyjazdem do Kanady otrzymałem od Zygmunta list głównie poświęcony przekładom (25.5.1969).

Przekłady lubię i jako ćwiczenie znakomite i jako formę popularyzacji rzeczy w Polsce nieznanym. Ale wiem, że trzeba nareszcie dać coś z siebie i tych własnych rzeczy, o których myślę, nie można odsuwać w nieskończoność, bo przypadną w obcojęzycznym rozgardlesszu...

W Kanadzie odebrałem list z 30.10.1972, w którym Zygmunt wyraża radość z otrzymania mojej korespondencji:

[...] nie tylko dlatego, że inni nie komunikują się ze mną, ale głównie dlatego, że szczególnie miło wspominam naszą przyjaźń.

Relacjonuje postępy w pracy przekładowej poezji Jeffersa i prozy Mertona.

Oryginalna twórczość w kompletnym zastoju mimo wielu projektów literackich, które nie dają mi spokoju. Przykro wyznać, ale po dwudziestu z górą latach biurowej mordęgi czuję, że zamieniam się w kalafior i coraz mniej znajduję w sobie energii potrzebnej do pracy długofalowej. Brak jakiegós przyjaznego organu nie sprzyja realizacji projektów

literackich. Z Oficyną [Poetów i Malarzy — przyp. F.S.] nic już mnie nie łączy — stosunki b. chłodne.

Przebywając na początku roku 1975 w Hiszpanii zamierzałem wydać tom przekładów poezji Zbigniewa Herberta na hiszpański. W tym celu napisałem do Zygmunta, by mi przysłał teksty niektórych wierszy oraz materiały pomocnicze. W liście z 25.2.1975 nadeszło kilka odbitek oraz wyrazy zadowolenia z uczestniczenia w Jesieni Poetyckiej. Komentując lakoniczność listu Zygmunt skarży się

[...] skoncentrować się nie sposób w biurze liczącym ponad sto osób — rozmowy, kwiki, telefony etc. Za dużo decybeli jak na moje uszy i na moją wrażliwość.

O tychże materiałach Herberta pisze w liście z 5.3.1975. Na krajowe wydawnictwa narzeka w korespondencji z 22.4.1975:

Lobuzy z Wydawnictwa Literackiego zrobiły mnie w konia, jak to ładnie tam się mówi, a inni nie lepsi. Mam dość moich pracodawców, wyżej uszu i gdybym nie był wyznawcą Chrystusa, to bym ich wykosił z pepeszy! Opuścili mnie moi dawni przyjaciele, siedzę w chałupie i nikt się nie odzywa od lat! Piszę listy, na które nie otrzymuję odpowiedzi. Całe szczęście, że jestem urodzony pod Wagą i lubię równo-Wagę. Więc daje sobie radę i nie przyjmuję się problemami. Przekłady idą jako tako.

Pod datą 2.2.1976 czytam:

Wrogów nie mają ci tylko, którzy niczym nie są i nic nie robią. Niżej podpisany mimo że nie jest geniuszem ma wrogów po obu stronach pieprzonej kurtyny: stąd kłopoty z wydawnictwami w Polsce i niemożność, po ostatnich „nieporozumieniach” w Oficynie, drukowania tutaj. [...] Jedyni ludzie, z którymi się widuję — dość rzadko — to Niemojowscy i Paszkiewicz. Mam bliski kontakt z Marianem Kratochwilem (malarz), którego notatnik wojenny (1939) przekładam obecnie na angielski. [...]

Straszne upały jakie przeżywamy w Londynie nie sprzyjają pracy intelektualnej. Globusik nie chce pracować. Ale robię co mogę. W pracy nudzę (*sic!*) sromotnie i z melancholią rozważam ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

List datowany „W maju 1979 roku” jako miejscowość podaje „City-Anglobabilon”. Na moje doniesienia o polonijnej prasie w Kanadzie Zygmunt odpowiedział:

Jednak to polskie dziadostwo ma twardy żywot. Trzydzieści z górą lat minęło od zakończenia działań wojennych, a oni wciąż urzędują, wciąż dołki kopią, intrygują, bzdurzą się i... wybierają nowych Prezydentów. Jak wiesz wygarnąłem tym ludziom swego czasu na łamach pisma, które — w części przynajmniej — można było uważać naszym organem prasowym [*sic!* — F.S.]. I odtąd dałem spokój. Z ludźmi, którzy chorują na atrofie szarych komórek i przewlekły szczerkościsk dyskutować nie można i nie warto. Poznawszy obecnie — niezbyt głęboko, to prawda, ale już wystarczy — tę drugą stronę w PRLu dochodzę do smutnego wniosku, że ci panowie podobni są do siebie jak dwie krople wody. Ta sama arogancja, ten sam brak poszanowania dla odmiennych poglądów, ten sam, tak żenujący brak kultury osobistej i rzetelnej wiedzy przy równoczesnym zadęciu na wodzów narodu i nauczycieli. Smutek. Ale co robić? Człowiek ma tylko jedną ojczyznę na tej ziemi i bez względu na to, kto tam rej wodzi (czy aby nie kard. Wyszyński?) tam mieści się nasz narodowy Dom. Dlatego wołę pisać do pism krajowych. Bo tam są szanse, że zostaną przeczytane przez autentycznych Polaków a nie przez nawpół już wynarodowionych — mimo że wciąż szowinistycznie zacietrzewionych — emigrantów. [...] Pisać [...] jeżeli w ogóle, to chyba tylko do „Kultury” paryskiej, która bez względu na swoją politykę, jest pismem na poziomie. Cóż, kiedy z uwagi na ich stanowisko i propagandę, jaką uprawiają, pisać tam nie mogę. Z katolikami łączy mnie bezdyskusyjna sprawa chrześcijańska na całej rozciągłości. A dla świadomego katolika, tak samo niepokojącym jest materializm ateistyczny wschodu jak materializm i neopoganizm Zachodu. I tu sprawdza się to, o czym nie raz myślałem wiele lat temu w Londynie: własne pismo, pismo w którym

się jest gospodarzem od a do z. Wtedy człowiek nie ogląda się za pieniędzmi dla siebie, a tylko troszczy się, aby to, co się pisze było zgodne z prawdą. Niestety. Mieliśmy szansę dopracowania się takiego pisma, ale została zaprzepaszczone, bo nie dało się pogodzić prywatnych karier z koniecznością poświęceń koniecznych przy tego rodzaju imprezie. A brak własnego organu skazał nas wszystkich — prawie bez wyjątku — na milczenie. Można było spodziewać się, nie popadając w emfazę, że z takiego grona wyłonią się nie tylko lirycy, ale publicyści, krytycy, historycy etc. Tymczasem ćwierć wieku upłynęło już od pamiętnych sporów o „Życie Akademicie” i „Merkuriusza”, a nas nie ma ani w literaturze, ani w życiu społeczno-politycznym, po tej czy po tamtej stronie berlińskiego płotu — wszystko jedno. Nie ma nas w prasie, w radiu, w telewizji, filmie, na półkach księgarskich czy w teatrze. [...] Nasze nazwiska tam nie grają. Usiłuję zrobić to lub owo, ale jak pewnie zdajesz sobie sprawę, jest to sprawa arcydelikatna, najeżona trudnościami obiektywnymi (brak papieru, cenzura) i subiektywnymi (zawiść zawodowa, chęć szkolenia i niedopuszczania tych, którzy nie deklarują się oficjalnie z tą lub tamtą stroną)...

List zawiera sporo minucji na temat przekładów, które Ławrynowicz lansował w Polsce oraz opis stosunków urzędowych i prywatnych, jakie panują w literaturze.

Ostatni list a właściwie nota skreślona w British Library z 28.8.1986 donosiła tryumfalnie, że Zygmunt wreszcie otrzymał mój tomik wierszy, który wręczyłem redaktorowi „Gazety Niedzielnej” Zdzisławowi Wałaszewskiemu do przekazania Zygmunutowi — dwa lata wcześniej.

Przeleżał tam aż do chwili kiedy przeprowadzano się na nowy adres i z konieczności musiano zrobić jakie takie porządki.

Zygmunt gniewał się na mnie za to, że przejeżdżając przez Londyn, parę razy prosiłem Wałaszewskiego, by go powiadomił o ewentualnym wspólnym spotkaniu. Uważał, że powinienem się z nim osobiście umawiać i to dużo czasu naprzód. Cóż kiedy ja nigdy nie byłem w komfortowej sytuacji, by móc uprzedzać o przejeździe, nic nie mówiąc o ustalaniu szczegółów.

Do ostatniej korespondencji dołączył swój własnym sumptem wydany tom wierszy *Anglobabylon*. Szczerze o tym zbiorze do niego napisałem donosząc, że moim zdaniem, nie stał na poziomie jego poprzednich publikacji, że nie stanowi postępu, zganilem autora za przesył inwektyw i gremialne zzymanie się na siebie i na świat. Ale pochwaląłem to, że te teksty z siebie wyrzucił. Nawiązując do jego noty napisałem:

Gdybyś Ty nagle się zjawił tu, to bym chciał się z Tobą spotkać nawet, gdybym się o tym dowiedział od kogoś innego, nie powiadomiony z góry o tym... Kto wie, czy tych okazji w przyszłości będzie tak wiele, bo miejsc do odwiedzenia jest dużo, a życie robi się krótkie. I po co te wszystkie pozy?

Ironia losu sprawiła, że zjawiłem się w Londynie ponownie zupełnie niespodziewanie. Wałaszewski z miejsca poinformował mnie, że Zygmunt na spotkanie nie przyjdzie i że czeka na mój telefon. Z Polskiego Ośrodka Kulturalnego zatelefonowałem, aby nasłuchać się tych samych wyrzutów, dlaczego nie zaanonsowałem się wcześniej. I to samo w kółko. Wrzuciłem do automatu ostatnią monetę. Zygmunt perorował dalej. Jeszcze dziś słyszę jego namiętne, gorzkie słowa, które automat po chwili przerwał, kiedy wyczerpały się zakupione impulsy.

I takim miałem już Zygmunta zapamiętać na zawsze.

Florian Śmieja (Kanada)